

Zamach na kanclerza Dollfussa

widziany przez dziennikarza francuskiego w Niemczech

Znany dziennikarz francuski Hauteclouque, autor obiektywnych reportaży z Niemiec przebywał w okresie wypadków wiedeńskich w Monachium.

— Od tygodnia prasa niemiecka rozpisywała się, o „dynamitowcach“ austriackich — pisze Hauteclouque — byli oni jakoby wyrazicielami niezadowolenia, jakie nurtuje Austrię. Wyszadanie mostów i publicznych gmachów miało być dowodem, że ludność buntuje się przeciwko „Dollfusterror“. Dziwnym trafem — ilekroć któryś z nich wpadł w ręce policji austriackiej okazywało się, że zaopatrzone jest w pieniądze, samochód i podrabiany paszport.

— Na Jaegerstrasse w Berlinie w hałaśliwej piwiarni poznałem się raz przypadkowo z takim uciekinierem z Austrii. Był nie-trzeźwy.

— Der Dollfuss bald wird er was erleben...—oświadczył tonem proroczym. Poczem odwinąwszy rękaw pokazał na wypukłym bicepsie ciemne pręgi, które mogły zarówno uchodzić za ślady policyjnych palek, jak i za tatuaż.

Krytycznego dnia 25 lipca wracam Untergrundbahnem (kolej podziemna) z Dahlem, gdzie na wiadome mówiąc odwiedziłem pewną osobę, o której zapewniano, że została zabita, podczas wypadków 30 czerwca — ona zaś cieszy się najlepszym zdrowiem. W wagonie panuje upał niemożliwy do zniesienia. Ludziska drzemią. Nagle na stacji Wittenbergplatz rozlegają się wrzaski.

— Umsturtz in Osterreich!... Dollfuss sterbend!.. (Rewolucja w Austrii. Dollfuss umierający...).

To gazetciarze sprzedają dodatk nadzwyczajny wieczornego dziennika B. A. Z. Ogólne poruszenie. Jakby prąd elektryczny przeszedł przez staw z drzemiącymi żabami.

— Dollfuss umiera... Ach wass?

Niedowierzające uśmiechy.

Na Kurfürstendamm roi się od sprzedawców gazet. Obok oficjalnych sprzedawców w mundurach, tłum oberwańców zmobilizowanych dla rozprzedaży dodatków. Roznoszą pliki „Berliner Tageblattu“ i „Angriffu“. Wiadomości z Wiednia są jednobrzmiące.

— „Rawag“ radiostacja wiedeńska znajduje się w rękach powstańców... Lud aresztowali ministrów... Wywiadowca niemiecki podsłuchiwał telefon Feyera, rozmawiającego z księdzem. Wzywał go do umierającego Dollfussa... — Już niema wątpliwości. Dollfuss leży na łożu śmierci. Fruwają tysiące zadrukowanych kartek, twarze promieniają... Wskakują do taksówki i pędzą na dworzec Anhalt, żeby zdążyć na pociąg jadący do Monachium, a stamtąd do Austrii.

Na dworcu Anhalt faluje zbita ciżba ludzka. Dostają się do przedziału. Jest nas ośmiu mężczyzn i mały piesek skye - terrier. Tyłko on i ja nie nosimy żadnego znaczka — pozostali pasażerowie mają w butonierkach emalowane medaliki, ze znakiem swastyki. Krzyżują się wymowne spojrzenia. Radosne podniecenie. Po dziesięciu godzinach jazdy mój sąsiad zdejmując buty — stopy ma białe, gdyż ubrany jest po tyrolsku w sięgające kostek pończochy.

Zdaje mi się, że widzę jak we mgle małego człowieka, którego niedawno oglądałem w Wiedniu... Stoi ubrany w wytarty dolman „kajzerjaegera“, w ten sam mundur, w którym tak dzielnie się bił, w szeregach armji austriackiej idąc ręką w rękę z żołnierzami niemieckimi. Trafiły go wtedy dwie kule, ale śmierć nie była mu sądzona...

O świącie niedaleko Regensburga, mój sąsiad daje mi silnego kopniaka bosą nogą i podaje gazetę, poczem dodaje łagodnym tonem.

— Dollfuss is tott... Dziennik „Neueste Münchner Nachrichten“ podają szczegóły zamachu. Wynikałoby z opisu, że tłum, pospołu z armją i policją poprostu zlinczowało Dollfussa.

Na głównym dworcu w Monachium maszerują oddziały S. S. w czarnych kurtkach i w hełmach z trzypiętami główkami. Spokojnie zajmują miejsca w wagonach zdążających w stronę Kuffsteina i Salzburga, a więc na granicę austriacką. Cywile wyrwyją sobie „Völkischer Beobachter“. Na pierwszej stronie czerni się tytuł — „Lud austriacki zatłacza porachunki z rządem Dollfussa — z rządem terroru...“. W dalszym ciągu dziennik informuje, że „lud austriacki domaga się utworzenia nowego rządu z Rintelenem na czele“, i że granica niemiecko - austriacka jest zamknięta.

Naogół monachijczycy w porównaniu z berlińczykami wyglądają pośpiesznie. Mówi się o bitwach, staczanych w Styrii, Karyntji... Jakto — więc nieistniejący rząd austriacki — istnieje?

Alaż tak. Już nazajutrz mieszkający Monachium dowiadują się o tem z wydawnictw porannych. Wiadomości są sprzeczne. Rintelen, szef domniemanego narodo-

wo - socjalistycznego rządu popełnił jakoby samobójstwo. Hitler odwołał ambasadora Rietha, który skompromitował się wtrącaniem się do „puczu“.W Berlinie nie mówi się już o nieudanym zamachu z lekceważącym uśmiechem. Nazywa się go zwykłym „puczem“. Wyszedł rozkaz aresztowania na terytorjum niemieckim wszystkich uciekinierów z Austrii, którzy przedzierają się przez granicę, ścigani przez Heimatschutz, Heimwehrę i katolickich Sturmscharenowców.

Lawina nowin. Włochy się mobilizują. Hitler, który odbywał muzyczne rekolekcje w Bayreuth, wrócił do Monachium. „Wielki ruch ludowy“ narodowych socjalistów austriackich, zredukował się w Wiedniu do wystąpienia 140 „oberwańców“ płatnych i kilkuset fanatycznych prowincjuszów. (Sam dowiedziałem się — pisze Hauteclouque — z pewnego źródła, że w kieszeniach zamachowców znaleziono pieniądze, skradzione z biurek w pałacu kanclerskim). Austrija otrząsa z siebie zmore.

W Monachium panuje nastrój katzenjammeru...

Niemniej jednak Dollfussa już niema.

Ozdoba całego stanu dorożkarskiego w stolicy, p. Aleksander T., znany jest nie tylko z talentu, z jakim wystrzela korki z monopolówki: piorunująco, na dwa metry pięćdziesiąt i bez uronienia kropki cennego plynu. Pan Aleksander słynie także z krasomówstwa. Jego dar wymowy jest tak wielki, że najtwardszy pasażer mięknie już po pierwszych słowach plaidoyer p. Aleksandra i co temu sięga po sakiewkę, aby dolożyć żądane pięćdziesiąt groszy.

Rekordzista ten miał dnia pewnego przygodę, którą będzie pamiętał do śmierci. Zaczęło się, jak zwykle, z pasażerem. Twardym. Dał złotówkę za kurs, a kiedy p. Aleksander zwrócił mu uwagę, że mało, pasażer mruknął: „Wiem, ile się należy“ i zabrał się do odejścia. Wobec tego p. Aleksander sięgnął do swej broni ostatecznej, daru wymowy.

— A mać sobacza i spółka! — zawołał — jeździć wam się chce, a opłat trza, jak psu z gardziela wyrwywać?

Tym razem jednak retor trafił na człowieka, który miał także z koźmi do czynienia. Pasażer bowiem, jak się potem okazało na sprawie, dwa lata służył na froncie w jednym z najbardziej bojowych pułków ciałskich. Odwrócił się spokojnie, wparł na lasce i zaczął:

— Ty pluskowo grecka za dziadowskim kohnierzem przez Kłomęję szwarcowana, ty do mnie wyjeżdżasz z ekspozycji? Taki bnyś? Taki pietuch z Czarnego Morza? Taka pałuba? A klimat ci na powiekę i dzikie mięso, ty kozi pociotku i z ojca araba, ty pechlarzu miasta Warszawy, opiszku, rigoleto, tatadarak!

Ostupały dorożkarz zdjął czapkę i wyszeptał pokornie:

— Przeczszam jelemożnego panu...

Lecz jelemożny pan przerwał tylko na chwilę, dla zacerpnięcia oddechu i po przytoczeniu powyższej wstępnej poczęł zionąć przekleśtnami tak okropnymi, że na świecie uczyniło się poprostu straszno. Stolicę skryło się za chmurę, muchy zawisły w powietrzu, a kwiatki poczęły wędugąć i opadać z listków.

Dorożkarz oniemiał do reszty, a tłum ludzi, który zebrał się tymczasem, poczęł się cofać ze zgrozą. Ktoś wezwał poliejanta, który przybiegł natychmiast, z notesem w ręku, lecz już po pierwszych zasłyszanych słowach wypuścił ołówek ze zgrabiących palców.

Za ten koncert, który, wedle opinji sędzigo, naruszył poważnie moralność publiczną, krasomówca, p. Paweł K., otrzymał tydzień aresztu z zawieszeniem wyroku na lat dwa.

Jednakże p. Aleksander od tej przygody stracił humor i opinję najwymowniejszego dorożkarza stolicy.

Very.

Cmentarze na moczarach

Przy budowie kolektora Wolskiego od strony ul. Okopowej w kierunku ul. Wawrzyszewskiej, Dyrekcja Wodociągów i Kanalizacji natrafiła na b. niepodatny grunt na odcinku kolektora pod cmentarzami żydowskim i katolickim. Roboty prowadzone są tam na głębokości 10 metrów. Natrafiono na warstwę ilową b. trudną do przejścia, gdyż zawierają dużo wody i z trudem poddające się odwodnieniu. Wobec tego roboty posuwają się powoli.

Ponieważ grunt nie jest podatny do należytego osuszenia, prawdopodobnie zastosowany tam będzie t. zw. system kesonów, t. j. przesuwania się zapomocą zamkniętej komory ze sprężonym powietrzem. Trudności te wynikają na odcinku około 300 m. Na pozostałym, liczącym 150 m., roboty są już wykonane.

Nowy kolektor pozwoli na skanalizowanie całej dzielnicy Koło oraz Zakładu Utylizacyjnego, gdzie brak kanalizacji szczególnie daje się we znaki.

Jan Waśniewski

49

OGNIE W PIRYTACH

P O W I E Ś C

— Choroba! Wstrzymać powietrze! Wiertarka stanęła.

Targowski patrzył zdumiony.

— Co się stało?

— Pustka za skałą.

— Pustka? Niemożliwe!

— Napewno!

Wykluczone było, żeby skała nagle urwała się z naturalnych przyczyn. Należało przypuszczać, że natrafili na jakiś zawalony chodnik, ale to właśnie najbardziej dziwiło sztygara. Wszak są bardzo oddaleni od starej kopalni.

— Jak tu teraz strzelać? — frasował się Foszmanik.

— Przecie w pustkę ładunku nie wraże...

Drugi górnik, chudy, tyczkowaty, Lasoń, uśmiechnął się:

— Bobby i nie odda!

— No...

— Możeby kilofami?... — poddał Targowski.

Kilofem nie weźmie, panie sztygarze, skała twar-da i nie da się zeprzeć.

Lasoń odsunął kolegę, ujął lampę w rękę i oświetlał opokę.

— Hm... Trza borować bokiem. Dej-noś, Wiecek wiertaczkę. Wpiere ją od tej dziury, coś zrobił, w górę, a ty boruj drugą tak samo naskos, tylko w dół.

Wiertaczki znowu zgrzytnęły.

Targowski nie opuszczał robót, zaintrygowany niezwykłym zdarzeniem.

— No, to i gotowe...

Foszmanik przygotował ładunek dynamitu. Zapalono lonty i obecni odeszli za zakręt chodnika.

Huknęły dwa strzały jeden po drugim. Wracających ogarnął gesty, biały dym o ostrym zapachu. Lampy świeciły, jak w aureoli.

— No i co?

— Osympisko.

Targowski stał zdumiony... U brzegu jamy, dopiero co wystrzelonej dynamitem, spostrzegł kamienie najczystsze, wysoko procentowego galmanu.

Z otworu wionął stęchły zaduch... Foszmanik brał w rękę kamienie.

— Czysty galman.

— Tak. Natrafiliśmy na bardzo stary chodnik.

Zamilkł, pogrążając się w to dziwne uczucie, które ogarnia człowieka, gdy zetknie się z sędziwą rzeczą, szepczącą swem istnieniem o nieości wobec czasu i wiczy-czystych ludzkich wysiłkach.

Dwa następne strzały poszarpały bramowanie otworu na tyle, że już można się było zorjentować we wszystkim. Stary chodnik, o poziomie odrobinę wyższym zapełniony był galmanem, który teraz zsypywał się jako gruz.

— Hm... Jakto dawniej, panie sztygarze, wszystko inaczej szło... Przecie oni galmanem podsadzali opuszczone chodniki, jak my dzisiaj, nieprzymierzając, piachem.

— Tak... Ale to nic dziwnego... Szukali srebra, to galman mieli za nic.

— Hm, hm! Dobrze my jednak trafili, choć tam i za-czem innem szukaliśmy. Dyć tu ten galman bez żadnego trudu będzie się ładował na wózki. Nawet bez strzelania się obejdzie. Łopatami go i hajda na podszybie! To się dopiero pan zawiadowca ucieszy...

Targowski myślał o tem samem, tylko bez radości.

Wprost przeciwnie. Zły był, że mu się tak poszczęściło... Wydobycie zwiększy się gwałtownie, a znaczenie Faleńskiego wzrośnie. Przez moment zastanawiał się, czyby nie zataić przypadkowego odkrycia? Było to jednak niemożliwe!... Musi złożyć raport, bo dziś jeszcze wieść roznieśli się po całej kopalni.

— Cóż my tu będziemy robić dalej, panie sztygarze? — wyrwało go z zadumy pytanie Foszmanika.

— Właściwie nic nie macie do roboty... Jak wyjdę na wierzch, to zapytam pana zawiadowcy.

— A która godzina?

— Pół do jedenastej.

— To pana zawiadowcy tylko patrzeć, bo dzień w dzień przed jedenastą tu zachodzi.

— Kiedy tak mówicie, to poczekam.

Wydobyl papierosnicę i poczęstował górników. Nie zdążyli jeszcze wypalić, gdy w rozproszonym świetle lamp zarysowała się w chodniku sztywna sylwetka Faleńskiego. Targowski pośpieszył naprzeciwko.

— Panie zawiadowco, mam panu zakomunikować o niezwykłym i radosnym zdarzeniu. Doprawdy coś wspa-niałego!

— Aż tak?

Faleński się zatrzymał.

— Tak, tak! Proszę sobie wyobrazić, natrafiliśmy na stary chodnik, podsadzony galmanem. Ruda poprostu się sypie. Ale co ja będę opowiadał? Sam pan zawiadowca się przekona... Proszę bardzo.

Sztygar przyglnął do boku chodnika, przepuszczając przed sobą Faleńskiego.

— Ależ to doprawdy coś nadzwyczajnego! — błysnął binoklami Faleński, nachylając się nad usypiskiem galmanu.

— Pierwszorządna ruda! — Targowski rozluźnił kilofem okaz i podał go inżynierowi.

(C. d. n.).

Przed krótkami

Koncert nad koncertami

Ozdoba całego stanu dorożkarskiego w stolicy, p. Aleksander T., znany jest nie tylko z talentu, z jakim wystrzela korki z monopolówki: piorunująco, na dwa metry pięćdziesiąt i bez uronienia kropki cennego plynu. Pan Aleksander słynie także z krasomówstwa. Jego dar wymowy jest tak wielki, że najtwardszy pasażer mięknie już po pierwszych słowach plaidoyer p. Aleksandra i co temu sięga po sakiewkę, aby dolożyć żądane pięćdziesiąt groszy.

Rekordzista ten miał dnia pewnego przygodę, którą będzie pamiętał do śmierci. Zaczęło się, jak zwykle, z pasażerem. Twardym. Dał złotówkę za kurs, a kiedy p. Aleksander zwrócił mu uwagę, że mało, pasażer mruknął: „Wiem, ile się należy“ i zabrał się do odejścia. Wobec tego p. Aleksander sięgnął do swej broni ostatecznej, daru wymowy.

— A mać sobacza i spółka! — zawołał — jeździć wam się chce, a opłat trza, jak psu z gardziela wyrwywać?

Tym razem jednak retor trafił na człowieka, który miał także z koźmi do czynienia. Pasażer bowiem, jak się potem okazało na sprawie, dwa lata służył na froncie w jednym z najbardziej bojowych pułków ciałskich. Odwrócił się spokojnie, wparł na lasce i zaczął:

— Ty pluskowo grecka za dziadowskim kohnierzem przez Kłomęję szwarcowana, ty do mnie wyjeżdżasz z ekspozycji? Taki bnyś? Taki pietuch z Czarnego Morza? Taka pałuba? A klimat ci na powiekę i dzikie mięso, ty kozi pociotku i z ojca araba, ty pechlarzu miasta Warszawy, opiszku, rigoleto, tatadarak!

Ostupały dorożkarz zdjął czapkę i wyszeptał pokornie:

— Przeczszam jelemożnego panu...

Lecz jelemożny pan przerwał tylko na chwilę, dla zacerpnięcia oddechu i po przytoczeniu powyższej wstępnej poczęł zionąć przekleśtnami tak okropnymi, że na świecie uczyniło się poprostu straszno. Stolicę skryło się za chmurę, muchy zawisły w powietrzu, a kwiatki poczęły wędugąć i opadać z listków.

Dorożkarz oniemiał do reszty, a tłum ludzi, który zebrał się tymczasem, poczęł się cofać ze zgrozą. Ktoś wezwał poliejanta, który przybiegł natychmiast, z notesem w ręku, lecz już po pierwszych zasłyszanych słowach wypuścił ołówek ze zgrabiących palców.

Za ten koncert, który, wedle opinji sędzigo, naruszył poważnie moralność publiczną, krasomówca, p. Paweł K., otrzymał tydzień aresztu z zawieszeniem wyroku na lat dwa.

Jednakże p. Aleksander od tej przygody stracił humor i opinję najwymowniejszego dorożkarza stolicy.

Very.

Coty w anegdocie

Spotkanie króla perfum z królem maquis

Na temat zmarłego niedawno perfumiarza Coty'ego, krąży tysiące anegdot. Coty był w pewnym okresie swej burzliwej kariery senatorem Korsyki. Otóż podczas kampanji wyborczej postanowił on zjednać sobie względy głośnego bandyty korsykańskiego, Romanetti'ego, zwanego „królem maquis“.

Romanetti — nowoczesny Rinaldo Rinaidini — zgodził się przyjąć w swoim pałacu króla perfum.

„Krytycznego Anjacio“ Coty wyruszył autem z Ajaccio po zachodzie słońca. Towarzyszyło mu dwóch „ambasadorów“ bandyty. W pewnej chwili kazali oni zatrzymać samochód u stóp skalistych wzgórz i zapuścili się z Cotym wgląd sławetnego maquis. Co jakiś czas z mroków wyłaniał się wartownik, który składał przepisy ukłoni, wywijając strzel-

bę. Wreszcie orszak Coty'ego zatrzymał się przed skromnym, wiejskim domkiem, wznoszącym się na stromym wzgórzu. Wprowadzono nieco stremowanego „króla“ do izby, w której stały proste, nieheblowane sprzęty. Po chwili otworzyły się z hłasem boczne drzwi i na progu stanął Romanetti. Zerwał malowniczym gestem szerokoskrzydły kapelusz z kędzierzawej głowy i wyrecytował tubalnym głosem jedno zdanie:

— Król korsykańskiego maquis wita króla paryskich perfumiarzy.

Podano wiecezerg. Nastrój panował wesoly. Romanetti był pełen werwy. Opowiadał anegdoty o sobie i swoich towarzyszach, wysmiewał się z policji i z rządu, który nie może sobie dać rady z garstką śmiaków. Co piętnaście minut w izbie zjawiał się zbrojny

mężczyzna i szurgnąwszy buciarami powiadał:

— Wodzu, wszystko w porządku...

Romanetti był pierwszorzędnym reżyserem...

Zabawa trwała do późnej nocy. Coty perswadował rozbójnikowi, że powinien agitować na rzecz swego nowego przyjaciela. Zbójnik dał słowo, że „zrobi, co będzie mógł“. Rozstano się najserdeczniej.

Na pożegnanie Coty sięgnął po portfel, bo chciał spłynąć trochę grosza towarzyssom Romanetti'ego. Okazało się jednak, że zapominał (przezornie) zabrać pieniądze z domu.

— To nie! — zawołał Romanetti z patosem — i sięgnąwszy po własny portfel, rzucił dwa banknoty po tysiąc franków swoim wartownikom ze słowami:

— To od pana Coty'...

O Coty'm dawniej wyrażano się pochlebnie, a dzisiaj najwierniejsi jego przyjaciele (to znaczy ci ludzie, którzy za jego życia snuli się za nim jak cień), oburzają go inwektywami. Jedno jest pewne: Perwenjusz, który kupił sławę i przyjaźń ludzką, nie był pozbawiony dowcipu.

„Gringoire“ cytuje jedno z jego powiedzeń. Otóż znany jest aforyzm, że „pieniądze nie cuchną“. Henryk Batuille dodaje, że „miljon nawet pachnie“. Otóż w ostatnich czasach Coty, napotyrujowany i chory nie mógł się odczepić od jakiegoś natręta, który mu nieustannie proponował „zyskowy business“. Nie chciał uwierzyć, że skofczyła się era wyrzucania pieniędzy za okno i finansowania każdej, najbardziej ryzykownej imprezy. Wreszcie zirytowany Coty na „dowcipną“ uwagę natręta, że pieniądze nie cuchną — „L'argent na pas d'odeur“ — orzekł: „L'Odeur n'a plus d'argent“.

Czas odnowić prenumeratę na miesiąc sierpień

REDAKCJA: Warszawa, Nowy Świat 22. Telefony 6.66.99 (sekretariat, dodatkowy red. naczelny); 6.66.62 (dział polityczny i ekonomiczny); 6.66.69 (dział miejski i liter.-art.); 6.66.59 (miejdzynastowy). Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie z wyjątkiem niedziel i świąt w godz. 11—12.

ADMINISTRACJA: Warszawa, 7goda 1. Telefony: Administracja i Zarząd 691-64. Prenumerata 691-66. Wydział ogłoszeń 691-56. Skrzynka pocztowa 745. Adres telegraficzny — A B C Warszawa. Konto P. K. O. Nr. 13550.

PRZEDSTAWICIELSTWA: Kalisz, Aleja Józefiny 11, tel. 209; Piotrków Trybunalski, Słowackiego 9, tel. 59; Włocławek, Cyganka 26, tel. 136.

PRENUMERATA: miejscowa (z odnoszeniem do domu) i zamiejscowa — zł. 4.50 miesięcznie. Konto czekowe P. K. O. Nr. 13550.

Redaktor odpowiedzialny: Józef Matuszczyk.

Druk. Literacka S. z o. o., Warszawa, Nowy Świat 22, tel. 566 64

Wydawca: MAZOWIECKA SPÓŁKA WYDAWNICZA

Ceny ogłoszeń: za miejsce wysokości 1 milimetra przez szerokość jednej szpalty (na wszystkich stronach po 6 szpalt): na 1-iej stronie — 1 zł. w tekście (wśród artykułów) — 70 gr., w reklamach (wśród ogłoszeń) — 50 gr. na ostatniej stronie — 60 gr. Notatki reklamowe — 1 zł. Komunikaty (specjalne) — 1.50 zł. lekarskie — 30 gr. Nekrologia po 30 gr. Drobne po 20 gr. za wyraz, duże litery w ogłoszeniach „drobnych“ liczy się za oddzielne wyrazy a tusty druk — podwójnie. Notatki reklamowe oznaczają się cyfrą (N.), a komunikaty specjalne cyfrą (Kom.). Za terminy druku ogłoszeń Administracja nie odpowiada.

Wydział ogłoszeń: Zgoda 1, tel. 691-56 — biuro czynne od godz. 9 rano do 6 wiecz.

Kierownik: Tadeusz Ucieszyński